

Spotkanie z Hemingwayem

Hemingway reprezentował typ człowieka, którego rzadko spotykamy w ponowoczesnym świecie. Był politycznie niepoprawny do bólu. W pewnym sensie podobny był do Gombrowicza: potrafił zignorować maniery i zwyczaje (choć jak każdy pisarz zazdrosny był o swoją reputację). Była w nim zawadiackość Kmicica i jego towarzyszy, którą tak świetnie wyczarował Sienkiewicz w „Trylogii” – pisała Ewa Thompson w felietonie z cyklu „Widziane z Houston”. Tekst przypominamy w związku z premierą „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Hemingway. Pisarz (nie)stracony”.

W kwietniu br. [2021] telewizja publiczna w USA wyemitowała wielogodzinny program o Ernieście Hemingwayu (1899-1961), laureacie Nobla i niesłuchanie popularnym autorze z okresu przed i po drugiej wojnie światowej. Był jednym z niewielu autorów, którego coraz to nowsze powieści i opowiadania podnosiły temperaturę świata literackiego i studenckiego w latach 1950. i 60. (nie znam żadnego pisarza XXI wieku, o którym można by to samo powiedzieć). Dopuszczenie go do polskiego rynku było z pewnością rezultatem sympatii, wyrażonych w jego powieści „Komu bije dzwon” (1940). Tematem jest miłość w czasie wojny domowej w Hiszpanii w latach 1930., w której Hemingway uczestniczył jako korespondent medialnego syndykatu *American Newspaper Alliance*. Jak większość zagranicznych dziennikarzy obecnych wtedy w Hiszpanii, stacjonował po stronie

republikańskiej (tak eufemicznie nazywano komunistów). Tak więc ta powieść sprawiła, że Hemingwaya czytano za żelazną kurtyną i wolno było pisać o nim artykuły i książki.

Reportaż telewizyjny pokazał wiele zdjęć i filmów przedtem nieznanymi. Rodzice pisarza należeli do klasy średniej i byli typowo amerykańskimi konformistami (w Tocqueville'owskim sensie). Jako kilkunastoletni chłopak Ernest walczył na ochotnika w szeregach armii włoskiej w pierwszej wojnie światowej, był wielokrotnie ranny, potem towarzyszył komunistom w Hiszpanii w czasie wojny domowej, a w drugiej połowie życia jeździł do Afryki na polowania. Mieszkał w Paryżu, na Kubie i na południowej Florydzie. Jego dom na wysepce Key West (stan Floryda) to dziś muzeum— odwiedziłam je wiele lat temu, uderzył mnie niewielki rozmiar działki, na której został zbudowany i spora ilość kotów wewnątrz i na zewnątrz Muzeum. Podobno wszystkie pochodzą od tego „sześciopazurkowego”, którego Hemingway otrzymał w prezencie.

Hemingway jest mistrzem zwięzłości. Wyrzucił ze swoich tekstów prawie wszystkie przymiotniki, długie słowa i zdania zastąpił krótkimi. Wyświechtane zlepki słów w rodzaju „obfite plony” czy „uroczysta akademia” nie mają w jego utworach prawa bytu. Amerykańska angielszczyzna wiele zawdzięcza jego umiejętności ograniczenia słowotoku.

Chyba jego największą powieścią, czy raczej opowiadaniem, jest „Stary człowiek i morze” (1952). Starzejący się rybak nie może już niczego złowić i towarzysze z niego szydzą. W odpowiedzi rybak wybiera się w daleką podróż swoją małą łódką — tam, gdzie na pewno coś wielkiego

*To niesłychanie zwięzłe
opowiadanie mogło być
napisane tylko przez kogoś,
kto na własnej skórze
doświadczył bólu i triumfu
morskiego rybołówstwa*

napotka. I
rzeczywiście złowił
wielkiego marlina —
po dwudniowej walce
z nim. Długiego na
kilka metrów.
Przywiązał go do
łódki, ale krew tego
olbrzyma
przyciągnęła rekiny,

które rzuciły się na rybę i wygryzły całe mięso — został tylko szkielet. Po powrocie do portu stary rybak, śmiertelnie zmęczony, rzuca się na swój barłóg, podczas gdy inni rybacy podziwiają rozmiar szkieletu marlina.

To niesłychanie zwięzłe opowiadanie mogło być napisane tylko przez kogoś, kto na własnej skórze doświadczył bólu i triumfu morskiego rybołówstwa. Można je odczytać jako metaforę losu pospolitego i nieuprzywilejowanego człowieka, którego wysiłki życiowe wydają się przemijać bez śladu, którego życie odrzuca jeszcze za życia, który niczego nie osiągnął, żyje w biedzie i nie ciuła groszy na emeryturę. Staremu człowiekowi pomaga pewien chłopak, ale ten nie spodziewa się pomocy. Żyje siłą ludzkiej wytrwałości i tylko tę wytrwałość może złożyć Bogu w ofierze. Ale nie wiemy, czy składa, chociaż słowa modlitwy pojawiają się w jego monologu, zaś podświadomość woła „Boże, pomóż mi wytrwać!”.

Dlaczego Hemingway miał tylu wielbicieli? Promieniował męskością, dzisiejsze feministki powiedziałyby, toksyczną. Walczył w niesprawiedliwych i sprawiedliwych wojnach, odniósł dziesiątki

szrapnelowych ran. Wiedział, czym jest śmiertelne zmęczenie, gdy trzeba sterować łodzią, a człowiek nie spał od kilku dni. Zabijał zwierzęta — chełpił się listą zwierząt, które zastrzelił — były na niej dosłownie setki dziś rzadkich okazów afrykańskiej fauny, w tym trzy lwy. Wyzyskiwał kobiety, żądając od nich bezgranicznego oddania i zapomnienia o własnych planach i celach. W swoich opowieściach rozpakuje swoje własne doświadczenia. Pachnie autentyzmem.

Chyba wszystkim imponowała swoboda, z jaką poruszał się po świecie intelektu i po świecie fizycznym. Gdy po raz pierwszy odwiedził Kuba, tak się nią zachwycił, że kupił tam dom (za pieniądze krewnego żony). To właśnie tu napisał „Starego człowieka i morze”, opowiadanie, które przyniosło mu Nobla. Stamtąd też wyruszał w morze łowić ryby. Ale nie takie zwykłe do jedzenia — raczej te ostentacyjnie olbrzymie, które można było fotografować i którymi można się było chełpić.

Hemingway wielokrotnie udowodnił, że nie boi się śmierci — szedł naprzeciw sytuacjom, od których uciekałaby większość

Jego popularność wykraczała poza hołdy należne ludziom znakomitego pióra. Myślę, że ważnym czynnikiem była tu osobowość

Hemingwaya, człowieka, który wielokrotnie udowodnił, że nie boi się śmierci — szedł naprzeciw sytuacjom, od których uciekałaby większość. Tchórzostwo było mu obce. Nie wykorzystywał wolności w sposób chrześcijański — trzykrotnie rozwiedziony, miał cztery żony, troje zaniedbanych przez niego dzieci i pił zbyt dużo. Przy końcu życia zakochał się w młodziutkiej włoskiej arystokratce; przyjechała do niego

na Kubę, przed jej przyjazdem Hemingway przestał pić i zaaplikował sobie dietę odchudzającą – wszystko to w obecności jego czwartej żony.

Mam wrażenie, że Hemingway reprezentował typ człowieka, którego rzadko spotykamy w ponowoczesnym świecie. Był politycznie niepoprawny do bólu. W pewnym sensie podobny był do Gombrowicza: potrafił zignorować maniery i zwyczaje (choć jak każdy pisarz zazdrosny był o swoją reputację). Była w nim zawadiackość Kmicica i jego towarzyszy, którą tak świetnie wyczarował Sienkiewicz w „Trylogii”. Był też w nim duch podboju ziem, zasiedlanych przez Brytyjczyków i odbieranych rdzennymi mieszkańcami Ameryki w wiekach XVIII i XIX. Tak jak Wołodyjowski, Hemingway sam sobie wymierzył śmierć – z tym, że w wypadku Wołodyjowskiego był to produkt uboczny innego celu, podczas gdy Hemingway mierzył sam w siebie. Zastrzelił się. Po dwóch wypadkach lotniczych w Afryce, które obdarzyły go nieprzerwanym bólem, kupił sobie dom w miasteczku Ketchum w śnieżnym stanie Idaho. Po paru latach bezustannych cierpień przeniósł się do Ketchum. Jak ranne zwierzę, szukał samotności, aby w niej umrzeć. Reprezentował typ wolnego człowieka, który zapewne był częsty wśród wojowników we wczesnych stuleciach kultury europejskiej. I dlatego nas fascynuje. Bo należy do świata, którego już nie znamy.

Ewa Thompson
Rice University

Przeczytaj inne felietony Ewy Thompson z cyklu „Widziane z Houston”